

Henryk Mościcki

Pierwszy utwór J. I. Kraszewskiego

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 4/1/4, 326-330

1905

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

I rzeczywiście, charakter pisma, porównany z rękopisami komedy, okazuje, że jest to autograf poety. Adresatem był niejaki Masłowski (nieznanego bliżej imienia), komisarz czyli dzierżawca dóbr Czartoryskich. Ci Masłowscy przez wiek przeszło trzymali w dzierżawie wieś Dąbrowicę koło Sieniawy, odległą o półtorej zaledwie mili od Puław, i tu z jednym z nich żył Zabłocki na stopie — jak wiersz wskazuje — wcale serdecznej. Wierszyk ten jednak, jakkolwiek tak drobny, rzuca z innego względu ciekawe światło na postać poety. Przedewszystkiem musi on zachwiać dotychczasowe powszechnie przyjęte mniemanie o osamotnieniu, w jakim miał żyć Zabłocki w ostatnich latach przed śmiercią, o tem zamknięciu od świata, jakiemu miał się oddać od czasu śmierci Książnina. Widać, że w księdzu proboszczu, jakkolwiek w tym czasie miał już lat siedmdziesiąt z okładem, odzywa się jeszcze wena poetycka, okraszona — w tym wypadku — humorem i dowcipem. Co jednak najciekawsze, to tendencya wiersza o jakiejś bliżej nieokreślonej barwie antymasońskiej; można z tego poznać, że duch czasu zawitał także do Końskowoli i nie ominął Zabłockiego. Nadto jest to najpóźniejszy z dotychczas znanych, może ostatni, przedśmiertny, drobny wiersz wielkiego komedyopisarza.

Stanisław Kossowski.

Pierwszy utwór J. I. Kraszewskiego.

Jan Gloger we wspomnieniach swoich o pobycie z Józefem Kraszewskim w szkołach bialskich („Kłosy“ 1879 N. 744—746) podaje krótkie streszczenie pierwszego utworu znakomitego później powieściopisarza. Utworem tym jest ballada, wpisana przez trzynastoletniego Kraszewskiego, wówczas ucznia trzeciej klasy, do zeszytu J. Glogera. Dzięki uprzejmości p. Zygmunta Glogera utwór ten po raz pierwszy ogłaszam w całości. O powstaniu tej ballady wyjmujemy kilka szczegółów ze wspomnień Jana Glogera.

Profesorem języka i literatury polskiej w szkole wydziałowej bialskiej był Adam Bartoszewicz, ojciec znakomitego historyka; w uczniach swoich budził gorące zamiłowanie do literatury ojczystej i zachęcał do gromadzenia wypisów z lepszych pisarzy polskich. Każdy niemal z uczniów posiadał gruby sestern wypisów. Księga taka, należąca niegdyś do Jana Glogera, przechowała się do dziś dnia w zbiorach jeżewskich. Jestto obszerny tom in quarto, o 610 bibulastych stronach, zawierający 285 różnych utworów wierszem i prozą. Znajdują się tu utwory Naruszewicza, Krasickiego, Niemcewicza, Brodzińskiego i innych.

Pod Nr. 223, na stronach 509—515 znajduje się ballada p. t.: „Klasztor na Górze“, p. J...a Kra.....go. Składa się ona ze 120 wierszy, przeważnie jedenastogłoskowych, dość gładkich a dzieli się na siedm ustępów; na końcu podpis: „Pisał Józef Kraszewski“.

J. I. Kraszewski — opowiada Jan Gloger — za czasów pobytu swego w szkole białskiej niejednokrotnie pisywał wierszyki i powiastki, a nawet wydawał gazetkę szkolną. Jedyłą bodaj pozostałość z tych czasów podajemy poniżej, ściśle zachowując wszystkie cechy oryginału.

Henryk Mościcki.

KLASZTOR NA GÓRZE

ballada p. J....a Kra.....go.

I.

Zaszło słońce, ciemna noc wkoło się roztoczy,
Wraca z pola od pracy i wieśniak ochoczy.
Szybkim biegiem strumień bieży
Dolina się kwiatem ieży.
Szumi wśród lasku lipa rozłożysta,
I tuż za lasem płynie rzeka czysta,
Płynie — koło niej las od wiatru szumi,
Nic ponurego szelestu nie tłumi.
Bystremi nogi porwał się jelen z łożyska,
Patrzy... zdaleka blady płomień błyska.
Spojrzał i w las się zapuścił głęboki,
I śladu niema, gdzie on dawał skoki.

II.

Cóż to za ogień? co błyska wśród lasu?
I któż tam blisko tamtego szalaśsu?
Siedzi ich kilku, na szablach podparci,
Ubiór kozacki, mina dumę karci!
I wąs ogromny, wśród okropnej twarzy,
A między niemi ogień się żarzy.
Dziki spojrzenia rzucają wokoło,
Ale z nich żaden nie spojrzy wesoło!
Jeden z nich czarne przerzucił odzienie,
Odchrząknął, i rzuciwszy surowe spójrzenie,
Rzekł głosem na wpół cichym i odważnym:
„Mówić mi trzeba o przedmiocie ważnym.
„Słuchajcie więc mię, towarzysze moi!
„Za lasem, wpośród pola, klasztor stoi,
„Oddawna chodzą wieści dosyć wierne,
„Że mnichy mają bogactwa niezmierne.

„Idźmy więc śmiało, a pokażmy światu,
 „Że się nie zlekniem królów majestatu!
 „Złupmy ten klasztor i panów i sługi,
 „Niech pamiętają nas tam przez czas długi!“

III.

Skończył, odchrząknął i czapkę poprawił,
 Z boku przy drzewie karabin postawił,
 Podparł się ręką, gałąź w ogień rzucił;
 Na drugą stronę płaszcz czarny przerzucił.
 I znów się spytał: „Cóż na to mówicie?“
 Wtem stary jeden, co nie długie życie
 Wiek mu podeszły rokował,
 Chrząknął, żylastą rękę pod płaszcz schował
 I tak na jego odrzekł zapytanie:
 „Dobrze nam mówisz, nasz wodzu i panie!
 „Idźmy, gdzie klasztor, gdzie cierniowa ścieżka,
 „Bez skarbów wrócić nikt z nas nie omieszka“.(!)
 Skończył i w rękę wszyscy oręż wzięli,
 Wstali i płaszcze z kurzu otrząsnęli.
 Powstał pomału wódz także za niemi,
 I wnet dróżkami poszli wiadomemi.

IV.

Idą i idą, już xiężyc ponury,
 Światło swe zaczął rozpościerać z góry.
 Blade ich twarze iak promień xiężycy;
 Szata ich ciemna, trwoga im przyświeca.
 Idą wśród nocy, przeszli las i idą.
 Jeden przodkuje z pałaszem i dzidą.
 Już między pola weszli rozbójnicy,
 Jak wiley srodzy i jak wiley dzicy.
 Widno już było i klasztor i wieże,
 Jeden z nich wodza za ręką bierze
 I rzecze: „Widzisz że te czarne mury,
 „Czy słyszysz dzwonów ten jęk ponury?
 „Widzisz te bramy? cichość w nich panuje.
 „Wszyscy śpią, każdy spoczynek znajduie
 „Po trudach dziennych, myśmy tylko iedni,
 „Co się po nocy tak tułamy biedni“.

V.

„Co, biedni?“ — krzyknął wódz z wielkim zapalem,
 „Biedni my, biedni! a przecież ia chciałem
 „Byście podemną byli szczęśliwemi!
 „A wyście ieszcze, mniemacie, biednemi?

„Czyliż to bieda być wolnym człowiekiem?
„Szczęśliwie schylać się pomału z wiekiem?“
„Wybacz, wodzu, na słowa niebacznie rzucone —
„Niezważaj — Ale patrzaj, że bramy zamknięte“.

VI.

„Nic to“ — rzekł znowu i w rękę siekiera
Kawał zawiasy żelazney oddziera,
Znów wytrych porwał i ręką zwróconą
Za pochyleniem bramę miał już otworzoną.
Tu rażno wskoczył, w głąb ciemny klasztoru.
„Nie znam, rzekł głośno, żadnego odporu,
„Stawcie się tutaj woyska niezliczone,
„Nas jest 10-ciu na naszą obronę!“
W żelazney skrzyni wieko uderzył zwysoka,
Pękło wieko, tu drugi wygarnął pieniądze,
Trzeci zabierał srebra, złożone mosiądze,
Reszta się wdarłszy, gdzie kościół i cele,
Bili, łamali i palili wiele!
„Idźcie, rzekł wódz, palcie, łamcie wszędzie,
„Niechaj nic potem całego nie będzie!
„Wyrzniemy mnichów“, — rzekł i wpadł do celi.
Inni do innych zakątów wlecieli.
I rzeź okropna w pośród cichey nocy,
Wzywają Mnichy te Boskiey pomocy.
Lecz nie zmiękczona ręka tych okropnych katów,
Zabiwszy wszystkich, skarbce odarłszy z ornatów,
Monstrancye, patyny i kielichy święte,
Łamały ręce bezbożne, przeklęte.

VII.

Wszystko złupione, w krwi zbroczone ciała,
Ślad gdzie bezbożna ręka dostawała,
Wśród cichych murów, gdzie nic, gdzie zwaliska.
Ówdzie mdlejący ogień w gruzach błyska,
Tu owdzie krzyżów połamane szczątki,
Wszystko to zbrodni okropney pamiątki.
Uciekli zbójcy, a w odległe strony
Pędzi ich występki i grzech ten szalony.
Sam wódz okropną wiedziony rozpaczą,
Na skałę wlaższy wysoką, ponurą,
Rzekł: „Kiedy ludzi te pustki zobaczają,
„Co się z pobliską równywały góra,
„Dziś niczem, cóż na to powie?
„Że świętokradzca to zrobił,
„Dodając: na śmierć zarobił!

„Nietylko na śmierć, iam już piekła godny,
 „Nie miły dla mnie poranek pogodny,
 „Nie miłe życie“. Rzekł, i w mgnieniu oka
 Gdzie stała skała wysoka,
 Rzucił się, leciał, zatonął w głębinie;
 A teraz kiedy promień słońca ginie,
 Gdy noc już zaydzie, coś się tam odzywa,
 I kawały skał odrywa!
 Tak powiadają: ia temu nie wierzę:
 Jednakże, idąc, odmawiam pacierze.

Pisał Józef Kraszewski.

List A. E. Odyńca do p. Bécu.

A. E. Odyńca żywił dla matki Słowackiego uczucia niecodzienne, uwielbienie i cześć dla kobiety „najgodniejszej szczęścia na ziemi; a jednak nigdy szczęśliwej“ łączył z uczuciem „wiecznie żywej wdzięczności“ za wpływ moralny, jaki na niego pokrewna usposobieniem p. Bécu miała wywierać. Zbawienne skutki tego wpływu odczuwał Odyńca — jak się sam wyraża — na każdym kroku życia swego¹). Otaczając tak niezmierną aureolą postać p. Bécu, szedł już autor „Izory“ za daleko. Romantyk w poezji, był nim także w życiu...

Przytoczony poniżej list jest — zdaje się — jednym z ostatnich jego listów do p. Bécu. Z właściwą usposobieniu swemu egzaltacją, w słowach pełnych liryzmu kreśli Odyńca swój stosunek do matki Słowackiego²). Było to w r. 1851, więc w czasie, kiedy p. Bécu miała opuścić zacisze krzemienieckie i przenieść się do Ubienia; stąd pożegnalny ton listu, pisanego jakby w przeczuciu, że ogniwa ich wzajemnych, więcej niż przyjacielskich uczuć prysną rychło, śmiercią p. Bécu przerwane...

Stanisław Wasylewski.

¹) Żywy stosunek listowy, utrzymywany w latach 1826—29, (Listy S. Słowackiej-Bécu do A. E. Odyńca. „Przewodnik nauk i liter.“ 1898.) nawiązać się musiał także po r. 1831; obok innych danych świadczą o tem także wzmianki w listach Słowackiego do matki, którą poeta prosi w nich czasem o doniesienie czegoś Odyńcowi (Listy do matki. Lwów 1896. I. 296—300).

²) Opisany także we „Wspomnieniach z przeszłości“. Warszawa 1884.